

Kresowiak Galicyjski

Cieszanów
Horyniec
Lubaczów
Narol
Oleszyce
Stary Dzików
Wielkie Oczy

1991
1

Lokalny dwutygodnik społeczny

Nr 1 13.X.1991 r.

Cena 2000 zł

Drodzy czytelnicy!

Trafia do rąk czytelników pierwszy numer Kresowiaka Galicyjskiego — pisma które mamy nadzieję, regularnie będzie gościć w Waszych domach, sercach myślach i na trwałe wpisze się w pejzaż społeczny tego zakątka przygranicznej ziemi.

Rozpoczynamy swój marsz w wyjątkowo ważnym momencie. Każdy niemal dzień przynosi nowe wydarzenia, decyzje. Dla wielu rodzin są one brzemiennie w skutki. Padają na naszym terenie ostatnie zakłady pracy. Liczba bezrobotnych sięga już wielu tysięcy. Chcemy być kronikarzem tego przełomu i tkwić w tyglu udzięków spraw, dramatów. Chcemy radzić, pomagać w szukaniu dróg wyjścia.

Wierzmy, że stanimy się przystanią nadziei, mównicą publiczną, przewodnikiem po zawitych ścieżkach miejskogminnej rzeczywistości. Pełniąc rolę roznosiciela dobrych i złych nowin zamierzamy wzniecać ogień działania, wydobywać z mroku ludzi ciekawych, szlachetnych i przedsiębiorczych.

Mamy ambicje być sumieniem tej ziemi, lustrem na gościńcu, tragarzem faktów obiektywnych, rzetelnie sprawdzonych i opisanych. Już teraz z całym przekonaniem możemy powiedzieć, że Kresowiak Galicyjski potrafi rozweselać, ale też targać sumieniami, budzić dumę ale i zawstydząć. Wiązać się to oczywiście musi z odsłanianiem naszych przywar i wad, z usuwaniem z drogi barier i przeszkód. Nie będzie dla nas tematów tabu. Przed nikim też nie

będziemy padać na kolana. Z całą energią ducha wydamy walkę złości, obludzie, chamstwu. Stanimy się batogiem dla opieszałych, dla cwaniaków, dla ludzi którzy w dochodzeniu do celu gotowi są traktować innych.

Ale mamy świadomość, że krytyka w lokalnej gazecie ma szczególny wymiar. W warunkach gdy „wszyscy o wszystkim wiedzą” nie ma miejsca na pomówienie, demagogię. Stąd obca nam będzie tak modna ostatnio negacja wszystkiego co tu dokonano dotąd. Wychodzimy z założenia, że nie należy wydeptywać prośa które ktoś tam siał, rosząc pole swoim potem. Nie trzeba niszczyć fundamentów nie zbudowanego jeszcze domu, zapominając o głównym celu — przebudowie pięt. Po prostu chcemy aby nasz dwutygodnik był klubem, miejscem szermierki słownej, polem walki na argumenty.

Podjęliśmy trud rehabilitacji lokalnej opinii publicznej, zdolnej lansować lokalne sławy, autorytety, ludzi czynu. W czasach bowiem radia, telewizji, wysokonakładowej prasy zabrakło miejsca dla małych ojczyzn, dla ludzi z własnej wsi, miasta, okolicy. W efekcie ludzie bardziej zorientowani są w pracach Rządu niż w działalności Urzędu Gminy. Stan ten doprowadza do zanikania więzi sąsiedzkich, wzrostu anonimowości a nawet pogardy dla spraw własnego środowiska.

cd. na str. 2

51 rocznicę napaści Sowieców na Polskę i śmierci gen. J. Kustronia uczcili mieszkańcy Oleszyc

Narody, które tracą pamięć, tracą byt, życie — powiedział na powitanie licznie zebranej młodzieży szkolnej i dorosłego społeczeństwa miasta i gminy Oleszyce, a także delegacji gminy Stary Dzików, burmistrz Aleksander Michalski. Przypominał, że zgromadziliśmy się, by uczcić pamięć żołnierzy 21 Dywizji Piechoty Górskiej, którzy walczyli w dniach 14-17 września 1939 r. pod Dachnowem, Futorami, Oleszycami, Zabiałą, Uszkowcami, Dzikowem Nowym i Starym, Cewkowem, Ułazowem a więc na terenie Ziemi Lubaczowskiej. W walce tej zginął w Koziejówce pod Ułazowem jej bohaterski dowódca gen. bryg. Józef Kustron. Uczczono także 52 rocznicę napaści Sowieców na Polskę. Członek zarządu Koła Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Więźniów Politycznych w Oleszycach p. Józef Rokosz w okolicznościowym referacie ukazał wkład żołnierza polskiego w ostateczne rozгромienie hitlerowskich Niemiec, jego udział na różnych frontach II wojny światowej. Następnie ks. Henryk Rząsa odprawił za wszystkich poległych za Ojczyznę Mszę św. polową pod obeliskiem i przy brzozy krzyżu, postawionym na Horaju. W homilii wskazał na konieczność kontynuowania tych cech, które stanowiły specyfikę i koloryt Polski. Zaliczył do nich: staropolską gościnność, uciążliwość wolności i gotowość składania ofiary ze swego życia w obronie Ojczyzny, poszanowanie drugie-

go człowieka, gotowość służenia wobec bliźnich. Mówił także o patriotyzmie dnia dzisiejszego. O konieczności solidnej pracy, unikaniu bylejakości, potrzebie ochrony naturalnego środowiska człowieka. Musimy wszyscy dbać o czystość i piękność mowy ojczystej, troszczyć się o narodową kulturę, o jej chrześcijański charakter, mówienie prawdy, unikanie kłamstw i oszczerstw, o potrzebie tolerancji, otwieraniu się na potrzeby drugiego człowieka. Trzeba ukochać Polskę taką jaką ją mamy, z jej „zwyczajstwami i klęskami”, bez uciekania za granicę. Trzeba ją ukochać bo to nasza matka, to nasz obowiązek z nakazu Boga. To modlitewne nabożeństwo zakończyło się odśpiewaniem za dusze poległych „Anioł Pański”. Delegacje kombatanów, zakładów pracy, instytucji, szkół złożyły pod obeliskiem wiązanki kwiatów. Uroczystość była bardzo dobrze przygotowana. Były poczyty sztandarowe, zaciągnięte warty przez kombatanów i harcerzy, zapalono znicze. Teren zajazdu Horaju, leżący przy drodze z Oleszyc do Starego Dzikowa, gdzie odbyła się ta podniosła uroczystość 17 września br. o godz. 11, był pięknie uporządkowany i udekorowany przez pracowników Nadleśnictwa Oleszyce. To także dowód kultury i pamięci o tych, co zginęli o wolną Polskę.

A. Łazar

cd. ze str. 1

Naszemu zamiarem jest przeciwstawianie się tym procesom. Pragniemy budować dumę z własnej wsi, miasta. Z tych też względów pozostaniemy wierni problematyce lokalnej. Ważny dla nas będzie okrusz każdej biografii, sukces każdej miejscowości, przysiółka, nawet rodziny.

Nie znaczy to jednak, że staniemy się pismem zaściankowym, że zamknijemy się w lokalnych opłotkach. Premiując aktywnością, przedsiębiorczość będziemy też oknem na świat. Znajdzie się na łamach naszego pisma miejsce na publicystykę i satyrę, kronikę wydarzeń i materiały historyczne, oficjalne wystąpienia przedstawicieli władz i listy czytelników. Nie zabraknie też zakulisowych informacji o życiu znanych w naszym środowisku.

W sumie nasze czasopismo nam wyrażać wszystko co w swych zacnych sercach noszą mieszkańcy tej ziemi, wszystkie troski i nadzieje, wszystkie niedole i radości. Teraz bardziej niż kiedykolwiek jest czas powiedzieć naszym ziomkom co ze swej strony czynić mają, by być godnymi wzniesłego ducha, który bierze ich pod swe opiekuńcze skrzydła. Oto jest cel jakiego ożywieni wolą działania chcemy służyć na łamach naszego pisma.

Zdajemy sobie sprawę, że wydawanie pisma jest przedsięwzięciem trudnym wręcz karkołomnym. Brakuje nam doświadczenia, odpowiedniego zaplecza. Stąd sporo niedociągnięć nawet nieporadności. Czy więc nam się uda, czy udźwignijemy ten ciężar? Być może staniemy się skazani na los wołającego na puszczy, meteorem na tle ciemnego nieba. Być może wyczynu z wydaniem pierwszego numeru nie da się powtórzyć. Ale nawet wówczas, mamy nadzieję, zapiszemy się na trwałe w zbiorową pamięć. Staniemy się bowiem białym krukiem którego wartość w miarę upływu czasu będzie ustawicznie wzrastać.

Wierzmy jednak w sukces, w żywe wręcz w ciepłe przyjęcie, w szerokie grono naszych entuzjastów, którzy nie pozwolą nam zamilknąć. Żyjemy przekonanie, że będziemy wyborowym winem z którego po wypiciu już się nie rezygnuje. Sądźmy tak, gdyż liczymy na szerokie grono współpracowników, którzy piśmu zapewnią wysoki poziom. Jednostek takich nie brakuje. Ziemia ta jest bowiem płodna w ludzi mądrych, wrażliwych niezwykle. Sporo tu szlachetnych pasjonatów, badaczy i kronikarzy. Dlatego też już teraz do nich kierujemy apel o nadsyłanie korespondencji, artykułów o udostępnianie nam pamiętników, kronik i wspomnień.

Pismo wyrusza w drogę, aby niczym szybko rozprzestrzeniający się ogień trafić do naszych czytelników. Mamy nadzieję, że będzie to marsz zwycięski.

Marian Ważny

Chciałabym zobaczyć Sybir

*„Będąc dzieckiem często
szukałam na mapie
Sybiru. Marzyłam o tym,
aby go zobaczyć.”*

Rozpoczynamy dzisiaj druk wspomnień pani Zofii Borysowicz z Cieszanowa — Czereśnie, którą wraz z rodziną i innymi mieszkańcami kolonii Hryńków k/ Dachnowa „uszczęśliwiono” wywozem na Sybir. Pani Zofia napisała je kilka lat temu podczas pobytu w szpitalu w Łańcucie. Bardzo chętnie udostępniła nam swój rękopis. Chce, aby wielu ludzi dowiedziało się prawdy o cierpieniach Polaków. Tekst pozostawiamy bez żadnych zmian.

Pozwalamy sobie krótko przedstawić autorkę. Jest żoną rolnika, długie lata pracowała w gospodarstwie. Są tego efekty: nowe zabudowania, schłodzone obejście, ciężka długoletnia choroba, która wyeliminowała ją z pracy fizycznej. Jest mózgiem, pamięcią rodziny. Jej ciche prośby są rozkazem dla domowników. Choroba nie złamała tej dzielnej kobiety, matki sześciorga dzieci.

E. Dziadula
M. Ważny

Moja wojenna tułaczka (Wspomnienie z czasów II wojny)

I. PODRÓŻ W NIEZNANY ŚWIAT

Z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej nikt chyba nie myślał nie przewidywał, a zwłaszcza spośród młodzieży — jakie losy go spotkają. Miałam wtedy

cd. na str. 3

III Ogólnopolski Festiwal Piosenki Religijnej — Lubaczów 91 „WYŚPIEWAĆ TOBIE PRAGNĘ...”

Trzy niezapomniane dni 23-25 sierpnia br. Lubaczów żył piosenką religijną. A właściwie ona żyła w nim. Gdy mrok ogarniał miasto, mieszkańcy nie szli spać. Gromadzili się na placu rekreacyjnym Szkoły Podstawowej nr 2, gdzie usytuowana była scena. Zasiadali między nią a jupiterami. Na ławach i krzesłach. W mroku. Byli słuchać i podziwiać zespoły wokalo-instrumentalne, które przyjechały na III Ogólnopolski Festiwal Piosenki Religijnej. A było ich 23, skupiające ponad 200 artystów. Dwa dni poświęcono na przesłuchania. Każdy zespół śpiewał po 3 piosenki. Przesłuchania poprzedzone były krótkim nabożeństwem. W pierwszym dniu homilii o roli śpiewu w życiu religijnym wygłosił administrator archidiecezji ks. Zygmunt Zuchowski. W drugim dniu czytania liturgiczne nawiązywały do spotkania Ojca św. z młodzieżą w Częstochowie. Połączono zespoły odśpiewały hymn festiwalu: „Wyśpiewać Tobie pragnę, o Panie duszę mą, Chcę dobrem zło zwyciężać, pokój szerzyć w krąg”

W niedzielne przedpołudnie odbyły się warsztaty z kierownikami zespołów. Jurorzy, a zwłaszcza Ryszard Cieśla — solista Teatru Wielkiego w Warszawie i Andrzej Jakubowski — dyrygent Filharmonii Rzeszowskiej, przekazali oceny występu każdego zespołu, udzielili fachowych porad, co poprawić, udoskonalić, by podnieść poziom śpiewania i grania. Podzielono się uwagami odnośnie organizacji Festiwalu. Odnajdujemy kilka uwag fachowców:

— Festiwal zgromadził wiele bardzo dobrych zespołów, które wybrały ambitny repertuar, niekiedy przerastający możliwości wykonawców. To cenne. Nie idzie się na łatwinę, szuka się nowych rozwiązań. Niezwykle cennym jest to, że pojawiły się piosenki i utwory z nowych obszarów muzyki. Ta innowacyjność jest szczególnie pożądana. Za mało, było dobrych solistów. Wokaliści winni ustawiać swe głosy, rozpoczynając od basów, w górę, a nie do solisty wiodącego. Większą uwagę należy zwrócić na choreografię i łączność z publicznością — radził Ryszard Cieśla.

— Festiwal to ważne wydarzenie w życiu religijnym i kulturalnym. Był organizacyjnie bardzo dobrze przygotowany i przeprowadzony. Duża w tym zasługa Miejskiego Ośrodka Kultury, który przyjął pod swe opiekuńcze skrzydła to wielkie przedsięwzięcie. Macie wspaniałego dyrektora MOK mgra Witolda Kopę i ks. Jerzego Sopła. Oni żyli Festiwałem, poświęcili mu się bez reszty — dodaje Andrzej Jakubowski.

I wreszcie koncert galowy. Jury, pod przewodnictwem ks. Mieczysława Gniadego — wykładowcy Seminarium Duchownego w Przemyślu, zakwalifikowało do występu 13 zespołów. Emocje trwały do końca. Małgorzata Klimkiewicz, która prowadziła konferansjerkę, zapowiadała zespoły od ostatniego wyróżnionego do pierwszego, zdobywcy głównej nagrody. Najpierw wystąpili ulubieńcy publiczności: „Regent” z Krowicy Samej i „Samaria” z Baszni Dolnej. Potem zespoły wyróżnione: „Kafarnum” z Głinojecka, „Nadzieja” z Lubaczowa, „Cień wiary” z Biłgoraja, „Ekstaza” z Lubaczowa, „Giwersi” z Majdanu Sieniawskiego, „Westigia Tristatis” z Przystajni, „Oremus” z Lubaczowa, „Solidarni” z Gdańska-Oliwy. Ten zespół gości w Lubaczowie po raz trzeci. Ma dużą sympatię widzów. W tym roku pozostawił w naszym grodzie taśmy z nagraniami swych piosenek. Trzecie miejsce zajęli „Pojednani” z Tarnowa. Po ubiegłorocznych wyróżnieniach w Lubaczowie i Dębicy, tym razem zrobili postęp. Interesujący głos ma solistka Barbara Mach, która pięknie wyśpiewała „Wyznanie”. Drugą nagrodę dostały sympatyczne dziewczyny z Biłgoraja. Śpiewają melodyjne piosenki w zespole „Dysonans”. W ocenie jurorów najlepsza była piosenka „Kolęda Maryi”. Ale i pozostałe „Powroty” i „Wspaniała Matka” przypadły do gustu Lubaczowianom.

Zwyciężył zespół „Ad Maiorem Dei Gloriam” z Nowego Sącza. Gra od pięciu lat. Jest uczestnikiem wszystkich lubaczowskich festiwali. Zdobywał wyróżnienia w Stalowej Woli i Dębicy. Tym razem przypadła im palma pierwszeństwa. Duża w tym zasługa najlepszej solistki Barbary Migacz. Jest uczennicą II klasy (o profilu pedagogicznym) Liceum Ogólnokształcącego w Starym Sączu. Czystym, pięknym głosem wyśpiewała „Płyn, płyn”, „Chryste ratuj świat”, „Krok do szczęścia”. Zrobiła krok do kariery nauczycielki i piosenkarki, niezwykle udany.

Zwycięskim i wyróżnionym zespołom przyznano nagrody, ufundowane przez Bank Depozytowo-Kredytowy w Lublinie, Oddział w Lubaczowie. Wszyscy uczestnicy otrzymali dyplomy, foldery i gazetkę przygotowaną na wizytę Ojca Świętego w Lubaczowie. Wręczał je dyrektor Wydziału Spraw Społecznych Urzędu Wojewódzkiego w Przemyślu a jednocześnie prezes lubaczowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej mgr Mariusz Olbromski. Dzięki jego pomocy finansowo-sprzętowej możliwa była organizacja tej wspaniałej imprezy religijno-kulturalnej. Wszyscy z Lubaczowa wyjechali zadowoleni. Powiedzieli sobie: Do zobaczenia za rok!

Adam Łazar

cd. ze str. 2

12 lat. Starsi wiekiem ludzie którzy przeżyli I wojnę światową, różnie mówili o tej która wybuchła i co nas czeka w przyszłości.

Pamiętam lata przedwojenne, a szczególnie ostatnie kiedy już przewidywano wybuch wojny, gdyż o niej głośno mówiono, a między innymi i to, że nie damy ani guzika, ani piędy ziemi, ponieważ mamy dobrych sojuszników. Wszystkie te deklaracje i zapewnienia nie sprawdziły się. Życie potoczyło się innymi torami. Przyczyną tego był błędna polityka władz ówczesnej Polski, a może też i wiele innych przyczyn. Trudno mnie prostej kobiecie, dać pełną i prawdziwą ocenę wydarzeń tamtych czasów i dni.

Mieszkałam wtedy z rodzicami i rodzeństwem w osadzie koła Dachowa pod Lubaczowem. Niemcy jak wiadomo, na motorach i samochodach bardzo szybko przejechali Polskę i wkroczyli w moje rodzinne strony. Był jednakże wówczas jakiś problem z ustaleniem granicy niemiecko-rosyjskiej, gdyż w niedługim czasie Niemcy cofnęli się na zachód, a tereny tamte objęli w swe władanie Rosjanie. Długo nie trzeba było czekać, jak zaczęli wprowadzać swoją sprawiedliwość społeczną. Zaczęli to robić od „rozkułaczania” polskich gospodarzy i wywożenia polskich rodzin na Sybir.

W rodzinnej osadzie — kolonii było nam dane jeszcze żyć do 10 lutego 1940 r. Dzień ten na zawsze pozostanie w mej pamięci. Była wtedy mroźna i bardzo ciężka zima. W nocy tego dnia obudzeni zostaliśmy stukaniem do okna, a po krótkiej chwili usłyszeliśmy natarczywe łomotanie — dobijanie się do drzwi. Gdy rodzice je otworzyli padła pierwsze słowa: „sobirajsia pojediem”. Na podwórzu stały konie zaprzęgnięte w sanie, gotowe do drogi. Było wtedy kilku Rosjan z bronią. Mieli z sobą sporządzoną listę mieszkańców wyznaczonych do syberyjskiego podróży. Nikogo z kolonii nie zostawili. Gdy z rodziną będącą już na saniach mijaliśmy kolonię, woźnica, który nas wiozł powiedział do mnie: „obejrzyj się na swoje (na mój dom rodzinny), go to już ostatni raz i więcej już nie zobaczysz”. Kiedy z kolonii zabrali ostatniego gospodarza, wszystkie gospodarstwa zostały podpalone.

Widzę i słyszę jeszcze dziś ten przerażający płacz, krzyk i lament. Tego dzisiaj nie da się opisać. W sercu na zawsze pozostało odczucie niezawinionej krzywdy, doznanej jakże ciężkiej niesprawiedliwości losu. Żegnaliśmy wtedy z bólem serca rodzinny dom w płomieniach. Żegnaliśmy strugami łez ojczyznę ziemię. Nie wiedząc czy kiedykolwiek tutaj jeszcze wrócimy.

Pierwszym miejscem naszej zbiórki — po odjeździe z kolonii była wieś Dachnów, koło szkoły, a stamtąd wiezono nas prosto na stację kolejową w Lubaczowie. Czekaliśmy na już pociąg towarowy, dostosowany oczywiście, dla takich jak my wczasowiczów. Wagony były wyposażone w prycze piętrowe i małe żelazne piecyki na środku wagonów. Do każdego wagonu ładowano po kilka rodzin. Po załadunku wagon zamknięto. Ogarnęła nas ciemność. Dochodziły do nas tylko bliższe i dalsze krzyki, nawoływania, a nawet i przekleństwa.

Nie pamiętam ile staliśmy na stacji kolejowej w Lubaczowie. Ruszyliśmy w kierunku Lwowa dopiero wtedy, kiedy skład pociągu był cały załadowany Polakami, których saniami zwożono z terenów bliżej i dalej odległych od Lubaczowa.

Nie pamiętam dokładnie skąd zdobywaliśmy drzewo do spalania w piecyku. Można na nim było to i owo upitracić jeżeli ktoś zabrał ze sobą jakieś produkty, jeżeli komuś udało się zabrać z domu choć trochę maki lub mięsa, co już było rzadkością. Droga na Sybir była ciężka. W tej nieszczęsnej podróży pociechą był nawet i taki drobiazg, jak fakt, że do naszego wagonu wpełnił lekarza pana Kruczka, który był wszystkim znany, gdyż zamieszkiwał w Dachnowie, a pracował w szpitalu w Lubaczowie, gdzie był pojmany.

Po oswojeniu się z ciemnościami i rozpoznaniu mieszkańców wagonu Pan Kruczek powiedział „dobrze że chociaż jadę z swoimi”. Wspominając przeszłość z goryczą mówił, że rodzice jego budując przed wojny dom kupionego w majątku folwarcznym ziemi — kupili Sybir. Słuchając jak małe dzieci płakały i z zimna i z głodu, wśród których był też i mój półroczny braciszek — mawiał „ja nie zapomnę płaczu tych dzieci”.

Gdy tak jechaliśmy w nieznaną, pociąg na niektórych stacjach zatrzymywał się. Słyszeliśmy wtedy rozmowy z innymi pociągów będących jak i nasz na chwilowy postój. Żeby ujrzeć nieco światła dziennego mężczyźni odrywali deski, którymi był zabite okienka wagonu. W czasie takich postojów ludzie z różnych pociągów porozumiewali się z sobą, wymieniali informacje, kto i skąd jedzie „A za co was zabrano?” — pytali jedni drugich.

W czasie postoju we Lwowie lekarz Kruczek wziął od nas garnek na wodę i będąc po nią prowadzony z innymi, lecz niezbyt pilnowany i zostawiając ten garnek przy studni, wmiszał się w tłum ludzi na ulicy, zostawiając nas w ten sposób w pociągu. Wojnę przeżył na ziemiach polskich będących pod okupacją niemiecką.

cd. w następnym numerze

16 LAT NA INWALIDZKIM WÓZKU

Niefortunna jazda motocyklem w 1976 roku do końca życia przykuła Mariana Witka do inwalidzkiego wózka. Po wielomiesięcznym pobycie w szpitalu trafił do Domu Opieki Społecznej, gdzie przybywał przez 10 lat. Jednakże ten będący w sile wieku mężczyzna (ma obecnie 53 lata) nie chciał się pogodzić z życiem w odosobnieniu.

Wraca więc do Cieszanowa i tu u siostry w rodzinnym domu rozpoczyna nowe życie. Gdy tylko znikają śniegi całe dnie spędza w podróży na inwalidzkim wózku. Zaczynał od „spacerów” dookoła rynku później ulicami zaczął zapuszczać się na peryferie miasta aż wreszcie wyruszył do sąsiednich miejscowości. Od szeregu lat jest w ustawicznych rozjazdach. Ma swoje ulubione trasy. Do przemierzanych niemal codziennie należy pętla: Cieszanów Lubliniec — Kowalówka — Cieszanów. Dwa, trzy razy w tygodniu można go spotkać w Lubaczowie na targowisku. Lubi obserwować handlujących, czasem też sobie coś kupi. Ot chociażby nabyty ostatnio termometr od Rosjanina, który teraz jest zainstalowany na wózku.

Jego pasją są mecze. Zaopatrzony w terminarz rozgrywek odwiedza boiska sportowe niemal w całym byłym powiecie lubaczowskim. Tego tylko lata oglądał zmagania na boiskach w Starym Dzikowie, Baszni, Miękiszu k. Nowej Grobli i w Horyńcu.

Wózek inwalidzki dla Mariana Witka stanowi miniaturowy dom. Jest na nim radio, oraz parasol przeciwdeszczowy. Jego nieodłącznym przyjacielem jest pies. Można go zobaczyć biegnącego obok wózka albo leżącego u stóp swego pana. „Szkoda tylko że nad moimi psami — mówi — ciąży jakieś fatum. To już bowiem mój czwarty pies. Wszystkie zdychają mimo troskliwej opieki po roku, dwóch”.

Usiłuję zgłębić filozofię tego człowieka, jego poglądy na świat i ludzi. Jest skryty i wyjątkowo skromny. Nie skarży się, nie narzeka. Mógłbym mieć samochód — mówi — ale wiem, że ode mnie są bardziej potrzebujący. Zgłasza tylko uwagę pod adresem władz miasta. Modernizując ulice, chodniki — stwierdza — na wszystkich przejściach uparcie ustawia się krawężniki. Zapomina się przy tym o takich jak ja, oraz o matkach z wózkami.

Ciepło wyraża się o ludziach. W czasie odległych wypraw spotyka na drodze różnych osobników. Ale nie zdarzyło się aby był obiektem napaści czy tylko drwin. Wprost przeciwnie zawsze ilekroć sytuacja tego wymaga (awaria w wózku, nadciągająca burza) zawsze spotyka się z natychmiastową pomocą.

Stara się być pożyteczny. Jeździłem na jagody — pochwalił się. Jak to zbierałeś jagody? — pytam. Nie, ale pilnowałem kolegom rowerów — oświadczył z satysfakcją. Chciałby pracować, coś robić. Przecież umysł i ręce ma sprawne. A może by tak jakaś instytucja czy firma zlecała mu wykonywanie pewnych elementów np. do zabawek, prostych urządzeń? Pamiętajmy, nie dość, że ten człowiek został skrzywdzony przez los, to jeszcze dodatkowo musi cierpieć z powodu bezczynności.

MAREK WRZOS

Pan Mariancio

Nie wiem kto i kiedy nazwał tak długoletniego organistę w Cieszanowie p. Mariana Mazurkiewicza. Przypuszczał, że to któryś z ks. proboszczów parafii pod wezwaniem św. Wojciecha. Tak nieoficjalnie nazwali go wszyscy, młodzi i starsi. Ma dzisiaj 83 lata, żyje samotnie w Płazowie przy ul. Szkolnej. Jednak wcale nie czuje się osamotniony, przeżywa ciągle swoje 56 lat, które poświęcił pracy jako organista w Cieszanowie. Podczas naszej długiej rozmowy ani razu nie padła kwestia zapłaty jaką otrzymywał. Natomiast widać było ożywienie, tego bardzo ruchliwego, zdrowego fizycznie człowieka. Pamięci mógłby pozazdrościć mu niejeden. Oto co wspomina ten sympatyczny „fanatyk”, „mianiak” organów i śpiewu.

Na uczył go grać ojciec w domu. W wieku 25 lat zdał egzamin z gry i ze śpiewu we Lwowie. Przyjął go do pracy, którą p. Marian nazywa służbą Bożą, ks. Izidor Węgrzyniak (zginął w obozie śmierci).

Podczas tych 56 lat jego gry na organach, w Cieszanowie było 50 kapłanów. Przez 10 lat prowadził chór mieszański i to uważa za swój największy sukces. Wymienił wiele nazwisk członków chóru, między innymi Jan Wolanin, Wincenty Bartkiewicz, Rozalia Ciepla, Urszula i Antoni Witkowie, Maria Szajowska wszyscy z Cieszanowa, Józef Wolanin z Folwarków.

Można zaryzykować, że był to jeden kościół w Polsce i jeden organista, który co niedziela po porannej mszy śpiewał wraz z wierzniymi „Bogurodzicę”. Polecił mu ją nauczyć śpiewać ks. Izidor Węgrzyniak. Męczył się z tym p. Marian dość długo, po sumie wierni zostawali i uczyli się tej pięknej pieśni, która ma charakter nie tylko religijny. Ona zawsze kojarzyła się i kojarzy Polakom ze zwycięstwem pod Grunwaldem.

Zawsze grał na tych samych organach, które były kilkakrotnie remontowane, jednak nie wydawały nigdy czystych pełnych dźwięków.

Był w swoim życiu ministrantem, kościelnym, organistą. Grał w 25 kościołach. Ze służbą organisty wiązało się wiele innych prac i przyjemności. Nosił ludziom opłatki w okresie Adwentu. Parafia była duża, dzisiaj na tym obszarze są jeszcze 4 parafie. Każdy z nas chyba przeżył ten moment przynoszenia opłatek. Do tego święta sprzątało się każdy dom. Organista składał życzenia i z każdym rozmawiał, szczególnie z dziećmi, nazywając je „rajskim kwiatkiem”. Przynosił tę radość do domu, był zapowiedzią choinki, wieczery wigilijnej, koled Pasterki. Kto nie pamięta tych tłumów na Pasterce, kiedy duży kościół nie mieścił wiernych, kto obojętnie dziś wspomina śpiew kilku tysięcy osób koledy „Wśród nocnej ciszy...”

Organista był osobą szanowaną, lubianą, mile widzianą w domu. Ileż to już dzisiaj babć przypomina sobie z rozrzewaniem, że na ich weselu pięknie przemawiał organista, a one były nazwane „różą cieszanowską, dachnowską, lub zukowską”. To nic, że suknia ślubna kryła ciążę ale ona w tym dniu była „ślicznym kwiatkiem” zerwanym przez chłopca przystojnego, dobrego, pracowitego, miłego. Życie minęło nieraz w trudzie i znoju, ale dzień wesela był przyjemny i to się pamięta. Wiedział o tym p. Marian i starał się nieść radość tym ludziom. Pod koniec swej kariery głosił mowy pożegnalne na pogrzebach. Pytałem się, gdzie się ich wyuczył?

„Jak słyszało się tysiące kazań, słuchało setek księży, jak się było na niezliczonych ilościach odpustów to można powiedzieć kilka zdań z uczuciem”. Jednocześnie jemu osobiście życie nie skąpiło trudnych chwil, smutków i trudności.

O tym nie mówił starszy pan, który żyje tamtymi latami. Wspomina księży kaznodziejów: Strońskiego, Urbanika, Goniaka, księży społeczników jak obecny rektor Akademii Papieskiej w Krakowie ks. prof. Wacław Świerżawski, który wiele godzin spędzał na ręcznym pisaniu pieśni na brytoli. Takie plansze wywieszało się później w kilku miejscach kościoła. Ludzie w ten sposób szybko przyswajali sobie słowa. Wspominaliśmy piękną pieśń wielkanocną „Gloria Tibi Trinitis”, śpiewaną przez ludzi, którzy nigdy nie uczyli się łaciny.

Nie miał wrogów szukał przyjaźni i przyjaciół wśród księży, miejscowej ludności.

Był człowiekiem uczynnym. W Płazowie wypalano doskonałe wapno. Jeśli kto, poprosił go aby mu przywiózł, to swoją furmanką czynił tę przysługę.

Źle znosił pobyt w kościele wśród wiernych. Jego miejsce zawsze było wyżej, na chórze, gdzie trzeba było pilnie śledzić przebieg liturgii, wyczuwać nastrój uczestniczących w nabożeństwie. Popisowym numerem organisty z Cieszanowa były pastorałki, szczególnie „Szalamaje” (faktyczny tytuł „My też pastuszkowie”).

Wiele krąży po Polsce taśm magnetofonowych z nagraniami tej pastorałki w wykonaniu Mistrza.

„Mój Boże” 56 lat ile to kilometrów przejechanych rowerem, autobusem, pokonanych piechotą, ile to nocy, poranków, wieczorów, strachu i obaw”. Była to odpowiedź na moje pytania. Prawie przez wszystkie lata, oprócz okupacji, w maju, w czerwcu i w październiku jeździł 2 razy dziennie do Cieszanowa. Rano na mszę świętą, wieczorem na nieszpory. Ze względu na brak miejsca nie mógł w całości opowiedzieć kilku ciekawych a zarazem mrozących krew w żyłach zdarzeń. Kilkakrotnie podkreślał p. Mazurkiewicz, że miał szczęście, był chroniony przez opatrność. W dniu Bożego Ciała w 1944 roku uroczyście suma i tradycyjna procesja rozpoczęła się dopiero o godzinie 14-tej. „Nasz organista” wyjechał z Płazowa przed 4-tą rano. Zatrzymali go Niemcy, kazali kopać grób, oczywiście dla siebie. Uratował go Śluzak w służbie wermachtu, który na widok białej hostii i komunikantów uwierzył, że ujęta osoba to organista. W tym samym dniu otoczył go patrol UPA. Tam też prawie cudem uniknął śmierci. Po uroczystościach wracał przez Wielki Las, Chorylub, Brusno, Łowczę i tu grożono mu śmiercią. Innym razem strzelano do niego. Miał żyć i żyje.

Ciekawy i twardy to człowiek, dumny i pokorny. Nie opowiada o swoim trudnym życiu, nie czyni z siebie cierpiennika, a przeciwnie jest wesół, uśmiechnięty. Gdyby go pozostawiono na drugie życie, to byłby tylko organistą i tylko w Cieszanowie.

Panie Marianie!

Uważam, że będę wyrazicielem tysięcy parafian z Cieszanowa i złożę panu serdeczne życzenia długich lat życia i pogody ducha.

Edward Dziaduła

Po Kresach przez dzieje

Ziemie nad Lubaczówką i górą Tanwią z Lubaczowem, Cieszanowem, Oleszycami, Narołem, Horyńcem i innymi znacznie większymi osadami stanowią interesującą rubież kulturową i etniczną należącą do wielkiego obszaru pogranicza polsko-ruskiego. W literaturze przedmiotu na określenie całego tego obszaru przyjęły się różne terminy: Ruś Czerwona, Ziemie Czerwińskie, w nowszych czasach Małopolska Wschodnia, a najczęściej Kresy. Pod względem administracji w okresie staropolskim Kresy południowe leżały w obrębie województwa ruskiego, które dzieliło się na ziemie: sanocką, przemyską i halicką, oraz województwa bełskiego z powiatami: Lubaczów, Bełż, Busk, Grabowiec, Horodło.

Najstarsza chronologicznie, znana historykom wzmianka o ziemi południowo-kresowej pochodzi z kroniki kijowskiej, gdzie czytamy, że w 981 r. Książę Włodzimierz „najeżdżał Lachów i zajął grody ich Przemyśl, Czerwień i inne grody”. Pośród tych innych grodów, jak można się domyśleć, znajdował się Bełż, a także Lubaczów, którego początki sięgają doby Polski plemiennej. Bolesław Chrobry na krótko przywrócił ziemie czerwonoruskie do państwowości polskiej, ale już w 1030 r. zostały one zajęte przez Ruś. Odtąd przez ponad trzy stulecia trwała tutaj rywalizacja polsko-ruska z przewagą panowania ruskiego aż do 1340 r., kiedy Kazimierz Wielki w wyprawie na Ruś, jak pisze Długosz „zdobywa i zagarnia pod swoje panowanie, szczególnie, że niektórzy dobrowolnie się poddawali — zamki i miasta, zarówno w Przemyślu, jak Haliczu, Łucku, Włodzimierzu, Sanoku, Lubaczowie, Trembowli i Tustaniu”. W 1388 r. Lubaczów wraz z ziemią bełską dostał się w posiadanie księcia mazowieckiego Ziemowita i dopiero w 1462 r. został włączony do Korony. Odtąd aż do rozbiorów wchodził w skład województwa bełskiego. W dobie porzoborowej powiat lubaczowski znalazł się w obrębie cyrkułu bełskiego, później żółkiewskiego Galicji i Lodomerii. W 1876 na siedzibę powia-

cd. na str. 5

cd. ze str. 4

dziewięć Kresy zamieszkiwały cztery liczące się pod względem znaczenia gospodarczego i roli kulturowej narodowości: dwie autochtoniczne — polska i ruska oraz dwie napływowe — niemiecka i żydowska.

Dużą rolę w ukształtowaniu się kultury materialnej i duchowej Kresów odgrywały stosunki wyznaniowe. W okresie ruskiego panowania powstały na tym obszarze biskupstwa obrządku wschodniego. Od XII w. Ruś Czerwona była także terenem misji katolickiej. W 1375 r. została utworzona metropolia z siedzibą w Haliczu, później w 1414 r. przeniesiona do Lwowa.

Parafia lubaczowska, o której wzmianki pochodzą z 1388 r. obejmowała rozległy teren przeważającej części późniejszego powiatu. Z upływem czasu powstawały kolejne parafie, między innymi w Oleszycach (1458), Narolu (1505), Płazowie (1630), Cieszanowie (1748), Łukawcu (1754), Horyńcu (1775). W 1787 r. parafie dekanatu lubaczowskiego zostały włączone do Archidiecezji Lwowskiej.

W inwentarzu kulturowym Kresów mieszały się różnorodne wpływy. W pejzażu kresowego Lubaczowa oraz okolicznych miasteczek i osad koegzystowały ze sobą wieże kościołów i kopuły cerkwi. Podobną sytuację obserwujemy w języku, zwyczajach, w stroju ludowym, w codziennych warunkach bytowania. W pejzażu kultury Kresów wpisały się też rody Sieniawskich, Czartoryskich, Stadnickich, Lipskich, Ponińskich i Łosiów. W okresie II Rzeczypospolitej stosunki gospodarczo-społeczne kształtowały ziemiańskie dwory Sapiehów, Gołuchowskich, Karłowskich, Korytowskich, Gnoińskich, Lipiayów.

Kłęski elementarne, wojny i waśnie narodowe przez wieki wyciskały swoje piętno w tej części Kresów. Wędrując po ziemi tak dotkniętej biczem historii wciąż na nowo odkrywamy polskie znaki trwania na Kresach.

Zygmunt Kubrak

Z kart historii

GEN. JÓZEF KUSTROŃ — BOHATEREM ZIEMI LUBACZOWSKIEJ

21 Dywizja Piechoty Górskiej wraz z 6 Dywizją Piechoty dowodzonej przez gen. Bernarda Monda wchodziła w skład grupy operacyjnej, najpierw „Bielsko”, potem „Boruta”, która stanowiła część składową Armii „Kraków” gen. Antoniego Szyllinga. Po dwutygodniowych ciężkich bojach opóźniających, znalazła się na wschód od Sanu. Tu miano dać żołnierzowi kilka chwil wytchnienia, gdyż w dzień bił się, w nocy maszerował. Potrzeba było także przeprowadzić reorganizację. Takie były postanowienia. Los jednak chciał inaczej. W godzinach popołudniowych dowódca 21 DPG gen. bryg. Józef Kustron wzywany zostaje do dowódcy Grupy Operacyjnej i otrzymuje rozkaz nakazujący gotowość dywizji do dalszych działań. Dowódca Frontu Południowego gen. K. Sosnowski nakazywał możliwie bez zwłoki „marszu na odsiecz Lwowa”. Następuje przerwa w odpoczynku i reorganizacji. Gen. J. Kustron nakazuje pogotowie marszowe. W nocy z 13 na 14 września dywizja ma osiągnąć lasy na zachód od Cewkowa, a następnie ruszyć na Dzików — Oleszyce — Lubaczów. 6 DP w tym czasie ma ruszyć na Łukowę — Cieszanów. Pierwszy etap planu wykonany zostaje bez przeszkód. Z drugim były kłopoty. Plany wojenne nie przewidywały walk na tym terenie. Dywizje nie miały map wojskowych. W nocy pobłądziły w lasach lubaczowskich. 6 DP nie podjęła marszu na Cieszanów z powodu zmęczenia i walki z Niemcami, których oddziały spotkała na swej drodze. Tylko pułk Korpusu Ochrony Pogranicza ppłk Wójcika uderzył zgodnie z planami na Dachnów. Tu o godz. 6 zaskoczyli przy wydawaniu śniadania niemiecką kompanię z 130 Pułku piechoty z 45 Dywizji Piechoty gen. Lista. Rozpoczęła się walka. KOP-iści podpuścili baon niemiecki na odległość 200-300 m a następnie celnym ogniem zmasakrowali go. Wtedy Niemcy skierowali na ten odcinek ogień 2-3 dywizjonów artylerii i przy ich wsparciu podjęli o godz. 12.30 nowe natarcie. I ten atak pod Futorami został odparty, przy dużych stratach dla Niemców. Główny punkt opatrunkowy w szkole w Oleszycach był przepełniony, pozostałych rannych kładziono na słomie w kościele. Kronikarz 45 Dywizji niemieckiej podaje takie szczegóły. Przybyło ok. 14.30 czołgi do Oleszyc, skierowane zostają pod Dachnów. Przeżyły tam niespodziankę. Wyglądające dość prymitywnie, dwumetrowej długości polskie działka przeciwpancerne przebiły gładko pancerze naszych czołgów i unieszkodliwiły je. W pół godziny potem zostały z nich tylko bądź ranne, bądź martwe załogi. Na tyły KOP-u przedostały się patroli niemieckie i przecięły łączność telefoniczną. Zagroziły także posterunkowi sztabu dywizji. Gen. J. Kustron podjął decyzję przeniesienia stanowiska dowodzenia do gajówki Lebiedzie. W czasie tej przeprowadzki sztab dywizji wpadł w niemiecką zasadzkę. Oficer operacyjny kpt. dypl. Witold Wróblewski, jego pomocnik S. Żurkowski i oficer łączności ppor. Gęborek dostali się do niewoli. Oficer ordynansowy dowódcy ppor. J. Witka został ciężko ranny postrzałem nad okiem. Wypadek ten nie wytrzącił go z równowagi, nie pozwolił sobie zrobić opatrunku, a tylko zalepić ranę plasterem, by krew nie płynęła. Wycofał się do Dzikowa Starego.

Nie upadano na duchu. Wieczorem odebrano radiową depeszę dowódcy GO gen. Boruty Spiechowicza: „Podziwiam Wasze bohaterstwo. Bunio (tj. gen. B. Mond) naciera, wytrwajcie!” Niestety, cała dywizja była w walce. Brakowało amunicji. Pomoc nie nadeszła. Dywizja Kustronia była okrążona. Miała przeciw sobie całą 45 Dywizję oraz część 28 Dywizji, która klinem wcisnęła się między 21 DPG a 6 DP. Dowódca podejmuje decyzję w dniu 16 września wycofania się do lasów moszczanickich, by stamtąd przebić się i połączyć z GO. Oderwanie się od nieprzyjaciela jest niemożliwe. W Pierozkach jeden z oficerów proponuje, by dowódca wraz ze sztabem wycofał się ku zachodniej kolumnie, gdzie było spokojniej. Kustron odrzucił tę propozycję mówiąc: „Zostaję przy dywizji i zginę razem z ostatnimi jej żołnierzami. I tak żyję już za długo, gdyż wczoraj pociski przeznaczone dla mnie, trafiły mego oficera ordynansowego”. Bezpośrednio potem, na czele oddziału kpt. Żurka, w sile ok. 200 żołnierzy podjął marsz bojowy w kierunku lasów Moszczanicy. Tę ostatnią walkę gen. J. Kustronia tak opisuje por. Kozuchowski: „Oddział, na czele którego stał Generał, posuwał się w kierunku wsi Koziejówka. Wyruszyliśmy ok. godz. 11. Droga prowadziła przez krzaki. W czasie marszu byliśmy obserwowani przez lotnika, oraz byliśmy pod ogniem baterii artylerii, która strzelała w kierunku zachodnim. Po osiągnięciu pierwszej części lasu, Generał wysłał na północ kpt. Chwastka, aby sprawdził co to za bateria. Po pewnym czasie kapitan wrócił bez konia i zameldował, że jest to na pewno bateria niemiecka. Generał zarządził dalszy marsz. Wysłał dwa ubezpieczenia, każdy w sile około plutonu. Gdy ubezpieczenia oddaliły się na około 300 m, ruszyło nasze zgrupowanie. Na czele szedł generał z resztą swego sztabu (3 oficerów). Na przeciwnym skraju polany ogień ckm rzucił nas na ziemię. Generał otrzymał strzał w policzek, pod prawym okiem. Karabiny niemieckie grały bez przerwy, nasze odpowiadały z rzadka. Widziałem jak Generał uniósł się na rękach (trzymając visa) jakby chciał się rzucić naprzód, lecz upadł z powrotem. Dwie serie z ckm usadowiły go na wieki. Była godz. 14. Do 14.30 trzymali nas Niemcy pod ogniem, odpowiadając nawałami na każdy nasz strzał lub granat. Z całego oddziału zebrano nas ok. 60 ludzi. Generał Kustron żył jeszcze, mówił coś, lecz nie można było zrozumieć, w końcu ucichł i zeszytniał. Żołnierze niemieccy chcieli się nas zabrać od niego, lecz kapitan niemiecki, gdy się dowiedział nad kim płaczą zebrani oficerowie, oddał honory wojskowe i zostawił nas przez chwilę. Bardzo był kochany Generał przez nas, swoich oficerów i żołnierzy. Pomimo ostrych wystąpień Niemców, wszyscy zebrali się wokół jego ciała. Płakaliśmy bardzo, były łzy żalu za tym, który ożywał...niezłomnym duchem całą dywizję... Dla nas podwładnych i współpracowników pozostanie na zawsze przykładem jak żyje, dowodzi i umiera dowódca”. Ciało Kustronia zostało pochowane przy cerkwi w Ułazowie. Jak podaje kronikarz niemiecki „Poległego generała-dowódcę rozbitej dywizji, pochowano z żołnierskimi honorami”.

Straty 21 DPG w bitwie pod Oleszycami — Dzikowem — Ułazowem wynosiły ok. 100 osób, a rannych było ok. 300. Straty 45 DP niemieckiej

cd. na str. 6

cd. ze str. 5

wynosiły 124 osoby, w tym 7 oficerów i ponad 700 rannych. Kronikarz 45 DP nazywa bój pod Oleszycami „bitwą” i podkreśla, że 45 DP chlubi się tym bojem, gdyż udało się jej powstrzymać gwałtowne ataki Polaków. Tym większe prawo do chwały ma podhalańska 21 DPG gen. J. Kustronia, która przez 3 dni zatrzymała na miejscu co najmniej trzykrotnie silniejszą niemiecką 45 DP i przez ściągnięcie na siebie części 28 DP znacznie odciążała atakowaną przez nią naszą 6 DP gen. B. Monda pod Aleksandrowem. Walka się jednak nie skończyła. Grupy podhalańskich strzelców, kopistów, artylerzystów przedarły się do swoich. Część z nich walczyła w 6 DP gen. Monda, część w śląskiej dywizji pod Ulanowem w bitwie romaszowskiej to znaczy w ostatniej bitwie Armii „Kraków”. I choć skończyła się tragicznie epopeja wrześniowa to bohaterstwo jej żołnierzy broniących rozpaczliwie honoru Ojczyzny, świeci jasnym blaskiem.

skiem i uczy, jak żyć, walczyć i strzec największego skarbu — wolności.

Pamięć o gen. J. Kustronii żyje wśród społeczeństwa Ziemi Lubaczowskiej. Zespół Szkół Zawodowych w Lubaczowie nosi jego imię od 12 maja 1968 r. Imię to nosi szereg harcerski Szkoły Podstawowej w Starym Dzikowie, koło ZBOWID w Oleszycach. Władze miasta Lubaczowa i Oleszyc nadały to imię ulicom. Na cmentarzach w Starym Dzikowie, Oleszycach, Cieszanowie, Żelichowie pod Lubaczowem postawiono pomniki-obeliski oraz wmurowano tablice pamiątkowe.

Adam Łazarz

P.S. O walkach 6 Dywizji Piechoty gen. B. Monda w Lubaczowie napiszę innym razem.

WIEŚ REYMONTOWSKA NIE OPODAL CIESZANOWA

Odwiedzamy Folwarki. Wieś jest tak mała, że widnieje tylko na mapach, których używa żołnierz podczas manewrów. Liczy tylko 50 rodzin, w tym kilka bez następców. Mówią o niej, że czas tu się zatrzymał, że to wieś starych kawalerów, opustoszałych gospodarstw i ludzi jakby wyjętych z Reymontowskiej epopei.

Wieś leży na krawędzi pól i pastwisk, obramowanych niemal ze wszystkich stron zieloną wstęgą lasów. Stare rozłożyste drzewa zaświadczały o długim trwaniu tej wsi. Wiek XX sąsiaduje tu z wiekiem ubiegłym. Obok nowoczesnych domów spotkać można zabudowania kryte jeszcze strzechą, żurawie przy studniach. Jest też w tej wsi jedyna w gminie kuźnia, w której jak kiedyś można podkuć konia, nałożyć obręcz na drewniane koło.

Niemal wszyscy żyją tu tylko z darów ziemi. Zjawisko dwuzawodowców jest praktycznie nieznane. Stąd, aby wyjść na swoje, sporo plantatorów tytoniu i buraka cukrowego. Ziemia tu liche i mało urodzajne. Może dlatego sporo tu też hodowców bydła i owiec.

Do niedawna mówiono, że wieś dogorywa. Faktycznie nie ma już od 1978 roku 4-klasowej szkoły, w której przez 40 lat uczyło się co roku 25 — 30 dzieci. Zlikwidowany został też sklep. Pozostała tylko świetlica, otwierana z okazji organizowania zebrań wiejskich.

Nie znaczy to jednak, że wieś stanie się skansenem, zwiedzanym tylko przez turystów. Ludzie tu jednak myślący, twardzi i pracowici. Sporo z nich stawia na nowoczesność. Co drugi gospodarz ma tutaj traktor. Aż 10 gospodarzy do kościoła i na zakupy jeździ własnymi samochodami. Z kolei w czasie żniw na polach tu niepodzielnie króluje kombajn. Wieś ma nawet własnych konstruktorów. Kopciuch Wiesław zbudował doskonale działającą przewracarkę. Dokonano już melioracji pastwisk. Gospodarzy martwi tylko fakt, że poziom wody w studniach niepokojąco się obniżył. Z tych też względów planowana jest budowa studni głębinowych.

Mimo wkraczania w nowoczesność wieś zachowała barwny koloryt lokalny. Ludzie przywiązani są tutaj do tradycji i religii. Z tak małej miejscowości aż

5 osób skończyło teologię. W każdą niedzielę cała wieś, starzy i młodzi, piechotą, na rowerach, samochodami, wędruje do kościoła w Cieszanowie. A z kolei przez cały maj niemal wszystkie kobiety we wsi spotykają się wieczorami na majówkach przy kapliczce.

Żywy oddźwięk wzbudził tu nadawany kilkanaście lat temu serial „Chłopi”. Cała wieś żyła losami bohaterów. Długo komentowano poszczególne odcinki, szukano odniesień do własnej wsi, identyfikowano się z losami bohaterów. Nieprzypadkowo wówczas wszystkie postacie z serialu miały swoich odpowiedników we wsi. Najsłynniejszy był Boryna, Antek, Jagna. Nazwiska tej ostatniej nie chciano nam jednak przekazać.

Jak wspomniano, o Folwarkach mówią, że to wieś starych kawalerów. Już 10 mężczyzn dawno przekroczyło trzydziesty rok życia, a niektórzy z nich osiągnęli wiek emerytalny. O starych kawalerach krąży sporo anegdot. Mówi się np. że pod tą wsią płynie żyła wodna, której promieniowanie odbiera chłopakom chęć do żeniactwa. Sami jednak zainteresowani widzą inne przyuczyny. „Dziewczyny — mówią — nie chcą wychodzić za rolników”, w dodatku we wsi, w której nie ma nawet sklepu”. Ale i pod tym względem bywają wyjątki. Nie tak dawno jeden z kawalerów, będący po trzydziestce przywiózł sobie żonę aż z Rzeszowa.

W tej małej miejscowości ludzie żyją w zgodzie i przyjaźni. Nie ma tu procesów o miedzę czy sąsiedzkich swarów. Odosobnienie zbliża ludzi do siebie. Wszyscy doskonale się znają, żadna domowa tajemnica tu się nie uchowa. Życie na widok, pod czujnym okiem sąsiadów odstrasza przed łamaniem przyjętych zasad współżycia. I może dlatego taka tu wciąż żywa jest tradycja. Jak niegdyś kobiety pieką chleb w piecach, umieją przyrządzać starodawne potrawy. Przestrzegane są tu zwyczaje świąteczne i w każdym niemal domu można spotkać jakieś relikty dawnej kultury ludowej. To mebel, to obraz, to barwną wycinke na ścianie.

Zapada wieczór, wieś cichnie. Tu i ówdzie z domów strzela dym prostym słupem w górę i rozpląta się w ciemniejącym lazurze nieba.

Marek Wrzos

„Władza zapracowana czy niedostępna”

Zamiarem Redakcji było — możliwie — pełne i obiektywne zapoznanie czytelników z sytuacją gospodarczą, społeczną i kulturalną tzw. rejonu lubaczowskiego. Uznaliśmy, że najlepiej to zrobimy poprzez wydrukowanie cyklu wywiadów z burmistrzami i wójtami, gdyż są oni najlepiej zorientowani w obecnych realiach tego terenu.

Zaplanowaliśmy, że najpierw poprosimy o wywiad burmistrza Lubaczowa p. Wiesława Beka, gdyż pełni on swą funkcję w największym skupisku ludności.

2 września udałem się osobiście do Urzędu Miejskiego w Lubaczowie aby poprosić p. Beka o wyznaczenie terminu spotkania. Nie zastałem p. Burmistrza. Przedstawiłem się i poprosiłem p. Sekretarkę o przekazanie mojej prośby p. W. Bekowi. 19 września zadzwoniłem do UM i znów p. burmistrza nie zastałem. Pani Sekretarka powiedziała, że przekazała moją prośbę i dokona tego jeszcze raz. Do 26 bm. telefonu do mnie w tej sprawie nie było. Nie sądzę, aby dalsze moje prośby dały jakiś rezultat.

Uważałem, że mielibyśmy o czym rozmawiać. Wyobrażałem sobie, że skoro p. W. Bek kandyduje na posła to sam będzie szukał okazji aby zaprezentować „szerokim rzeszom” wyborców swój program. Okazało się, że zupełnie mu na tym nie zależy.

To jego sprawa. Może uważa, że taka mała rejonowa gazeta, nie mu nie pomoże ani nie zaszkodzi.

Chciałem Szanownych Czytelników zapewnić, że nie chcemy szukać sensacji i mocnych wrażeń. Mamy ich wszyscy pod dostatkiem. Jednak po takim potraktowaniu nasuwa się kilka pytań:

1. Czy p. Burmistrzowi nie odpowiada taka gazeta, czy może osoba, która chciała z nim rozmawiać?
2. Czy nie nadszedł jeszcze czas kampanii wyborczej?
3. Czy nie ma już nic do powiedzenia ani o ludziach, ani o gospodarce w Lubaczowie?

Na spotkanie z p. Bekiem miałem przygotowane następujące pytania:

1. Co p. Burmistrz zalicza do swoich sukcesów, co zrealizował ze swoich zamierzeń w 1990 roku?
2. Czego nie udało się wykonać i jakie były tego przyczyny?
3. Czy praca w administracji samorządowej to pełnia szczęścia, to honory, zaszczyty, pieniądze, „dodatkowe dochody”?
4. Czy p. Burmistrz wie jaka opinia panuje o nim w Lubaczowie?
5. Czy nie żał mu ZWG, ZMB i innych zakładów pracy, których dni są policzone?
6. Co myśli o życiu bezrobotnych, jaki ma program poprawy ich życia?
7. Co skłoniło Go, do kandydowania na posła do Sejmu RP?

- a) przyszłość działacza związkowego,
- b) znajomość realiów życia woj. przemyskiego,
- c) zasługi w rozwoju regionu,
- d) chęć „zrealizowania siebie”
- e) inne motywy.

Gdyby p. Burmistrz zechciał na te pytania odpowiedzieć podczas swojej kampanii wyborczej to proszę Redakcję o tym powiadomić a my odpowiedzi prześlemy naszym Szanownym Czytelnikom.

Edward Dziaduła

Kandydaci na posłów i senatorów z terenu byłego powiatu lubaczowskiego

Do Sejmu

Lista 2. Michalik Józef, popierany przez PSL, inż rolnik, Oleszyce

Lista 30 Kantor Adam, NSZZ „Solidarność”, księgowy, Horyniec Zdrój

Lista 41 Gajerski Stanisław Franciszek, KPN, nauczyciel, Cieszanów

Lista 42 Szpyt Janusz, Unia Polityki Realnej, artysta-plastyk, Lubaczów

Lista 54 Bek Wiesław, Unia Demokratyczna, nauczyciel Lubaczów

Do Senatu

Kowal Jan, zgłoszony przez Komitet Wyborczy Porozumienie Obywatelskie Centrum, inż mechanik, Cieszanów



takie miejsce

niewiele mówi o radości
ludzie są śmiertelnie poważni
niewiele myślę o spokoju
przeżony dynamiką świata
zaszywam się w mgłę marzeń
śniąc o tym
jak dobrze byłoby pozostać

KRZYSZTOF MARKO — Lubaczów

uczestnik Ogólnopolskiego Konkursu o „Laur Wierzbaka”, na którym został wyróżniony za całokształt twórczości poetyckiej.

W jego utworach odczuwa się problemy i szarość dnia codziennego.

Rzeczy ciekawe, dziwne i zaskakujące

Podczas prac ziemnych w Horyńcu Zdroju robotnicy wykopali kasetkę. W nadziei, że znaleźli zakopany skarb, rozbito ją pośpiesznie z niemałym nakładem sił. Wewnątrz zamiast skarbu, znaleziono bardzo starannie opakowany warkocz kobiecych włosów.

* * *

Na jednym z oficjalnych zebrań przedstawicielka Koła Gospodyń Wiejskich wystąpiła w ferworze dyskusji ze znamiennym oświadczeniem: „Robimy, co możemy, oddajemy się na prawo i lewo...” Słowa działaczki wywołały zrozumiałe poruszenie wśród panów.

* * *

W wydanej 1982 roku przez Wiedzę Powszechną książce „Witwicki” — omawiającej życie i twórczość wielkiego filozofa czytamy na str. 13: „Władysław Józef Witwicki urodził się 30 kwietnia 1878 r. w Lubaczowie koło Cieszanowa.

* * *

Na targu w Lubaczowie pewien mężczyzna dowiadywał się, czy nie mógłby nabyć żywych szczurów. Ofiarowywał 10 000 zł za parę tych gryzoni. Zapytany wyjaśnił, że jego złośliwi sąsiedzi wpuścili mu do mieszkania kilka myszy, więc on z zemsty chce się im zrewanżować szczurami.

Powiedzenia Pana Bolka z Cieszanowa

Wypaś się jak szczur w żelaznym sklepie
To ci się należy, jak pała na plecach (milicyjna — dawna)
Tak mi się chce pić, jak dziadowi płakać
W poniedziałek pożycz, a się napij

Wybory przed wojną w Narolu

Były członek Komisji Wyborczej z ramienia BBWR wspomina:

Widziałem że nasz człowiek przepada. Większość oddawała głosy na ludowców. Na dodatek ludowiec — członek komisji skrupulatnie pilnował aby przypadkiem nie doszło do jakiegoś szachrajstwa. W pewnym momencie wpadł na salę jego syn z okrzykiem: Tatu, leć krasula się cieli. Ojciec oczywiście wybiegł. Okazało się że był to manewr urzędnika. W międzyczasie bowiem do urny wrzucono kilkadziesiąt fikcyjnych kart. Oczywiście po tym wyczynie nasz człowiek wygrał.

* * *

życiowa bajka

ucz się żyć
czas ucieka
mówią ludzie wokół
czas szybko czas ucieka
przecież nie ma nóg
jak małe dziecko pytam
szukają butów siedmiomilowych

* * *

Przyjmujemy reklam, ogłoszeń i korespondencji do Kresowiaka Galicyjskiego

Ogłoszenia można zgłaszać:

- Sklep Wielobranżowy Państwa Zaborniaków
Cieszanów ul. Dworcowa

oraz

- Sklep Pana Andrzeja Zaczekowskiego
Lubaczów, Rynek 1

Cena ogłoszeń drobnych — 1000 zł za słowo,
ramkowe 3000 zł za cm kw.

Kresowiak Galicyjski

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów
ul. Leśna 9

Redaguje zespół:

Edward Dziadula, Adam Łazar, Marian Ważny (red. naczel.)

Wydawca: Agencja Reklamowo Marketingowa spół. z o. o.

Wydanie 1 numeru Kresowiaka Galicyjskiego finansowała Spółka „Kresowiak”

Skład s.c. Mitel, Rzeszów, ul. Hetmańska 15

Druk s.c. Punkt, Rzeszów, ul. Boya Żeleńskiego 23